



# OSTRZESZOWSKA KULTURA

## HISTORIA • SAMORZĄD

redaktor naczelny:  
Wiesław Kaczmarek



wydawca:  
Ostrzeszowskie Centrum Kultury



100. Rocznica Odzyskania Niepodległości przez Polskę

**WRACAM DO MOJEGO  
Gniazda**  
- JULEK KURZAWA / SAMI SWOI

str. 3



EGZEMPLARZ  
BEZPŁATNY



**Spotkanie  
w Ostrzeszowie**  
z Panem prof. Janem Miodkiem  
i Panią Teresą Miodek

str. 10

**WIELKOPOLANIE  
W WARSZAWIE**

str. 4



**DZIEJE OSTRZESZOWA**  
- OSTRZESZOWSKI BOREK

str. 15



Jeśli są Państwo  
zainteresowani publikacją  
ciekawych zdjęć i wspomnień,  
prosimy o kontakt z redakcją

# koniec lata z ostrzeszowskiej baszty



## POŻEGNANIE LATA

Czy to anioł spadł z nieba i płacze?  
Czy też dusza zbłąkana w drzwi moje kołacze?  
Nie, to jesień wśród blasku Perseid,  
stoi pełna dojrzałych nadziei.  
Gra na strunach zroszonych pajęczyn.  
Wystrojona w korale jarzębin.  
Lato jeszcze się pyszni zielenią,  
kwieciami barwnymi i rozgrzaną ziemią.  
Sierp księżycy pozbierał już zboża,  
smutne rżyska czekają w pokorze.  
I obłoki już takie są inne,  
takie białe, puchate - jesienne.  
Ptaki radzą nad swoją podróżą,  
nie martwiąc się biletami i wizą.  
Las zapachniał grzybami i rosą,  
to już jesień powoli, po trochu.

Ewa Olejniczak



foto: Wiesław Kaczmarek

## LUBIĘ WRACAĆ DO MOJEGO GNIAZDA. Koncert Jubileuszowy - Sami Swoi Orchestra.



W sobotę 29 czerwca w Ostrzeszowie gościliśmy z okazji Jubileuszu 50 - lecia grupę SAMI SWOI ORCHESTRA i Juliana Kurzawę. Zespołowi towarzyszyły wokalnie panie Magdalena Zawartko oraz Marzena Słowik. Koncert prowadziła Maria Zawartko.



Niewiele jest w Polsce zespołów jazzowych, które mogłyby poszczycić się takim stażem jak Sami Swoi. Grupa założona przez Juliana Kurzawę w 1968 - przetrwała wszelkie czasy burzy i naporu. Choć trzon składu zespołu pozostał niezmienny, ewolucja stylistyczna, jaką w ciągu 14 lat przeszli Sami Swoi, jest niebagatelna. Zaczynali od grania jazzu tradycyjnego, a konkretniej - jego chicagowskiej mutacji. Przez wiele lat taką chicagowską etykietką opatrywano zespół, który ani przez chwilę nie zamierzał zasklepić się w jednej konwencji. Szef zespołu, Julian Kurzawa, od samego początku, od kiedy zakładał zespół, twierdził, że będzie grać różną muzykę. Nie chciał się nigdy zatrzymać np. tylko na Armstrongu. Sami Swoi stali się uniwersalni, co sprawiało niemało kłopotów w rzetelnej

ocenie ich twórczości. W szczególności bulserwowało to bardziej tradycyjnych krytyków. Dziś repertuar zespołu, a co za tym idzie - także stylistyka - są niemal wyłącznie nowoczesne, choć nie awangardowe, jeśli chodzi o sprawy formy - co ważne w przypadku tak rozbudowanej grupy jak Sami Swoi - brzmienia. Koncert ten był dla widzów wspaniałym prezentem, przypomnieniem piękną jazzu oraz samego twórcy zespołu Juliana Kurzawy. Długie i gromkie brawa połączone z trzema bisami, rozmowy z muzykami i wspólne zdjęcia zakończyły koncert.

Już niedługo przedstawimy wywiad w gazecie z Julkiem Kurzawą: szczerze o nim, muzyce i zespole.

Wiesław Kaczmarek



### SAMI SWOI:

- Julian Kurzawa - tp, leader;
- Jan Młynarczyk - tb;
- Waldemar Kowalski - as, ss, bs;
- Jerzy Łukaszczyk - ts, bs, cl;
- Andrzej Muzyk - ts, cl;
- Janusz Szprot - p, el.p., synth.;
- Jerzy Sorski - g;
- Jan Gonciarczyk - el. b;
- Krzysztof Przybyłowicz - dr

### Featuring:

- Zbigniew Czwojda - tp,
- Waldemar Rakowski - ts,
- Dominik Witt - tu

Recorded live in July 1980 at the Main Studio of Polish Radio Wrocław



Warszawa – Stolica naszego kraju. Piękna, pełna życia, rozkwitająca i coraz wyższa. Przed wojną znacząca Prudencją a po wojnie nie zliczy się w niej drapaczy chmur i wieżowców, wyższych od sławnego Pałacu Kultury i Nauki.

Marzenie większości z rodaków, aby choć raz w życiu ją odwiedzić i nacieszyć się jej widokiem. Jeszcze przed wojną z Warszawą związała się dość liczna grupa Wielkopolan i nie tylko, a w tym wielu członków naszej rodziny, głównie ze strony ojca Stanisława.

Jako pierwszy do Warszawy udał się Jan, najstarszy brat mojego ojca. Następnie Maria ich siostra, oraz brat Franciszek wraz z żoną Genowefą Ignor.



Z kolei do Warszawy podążyli moi rodzice. Wpierw ojciec Stanisław a potem przyszła jego żona a moja matka Helena Malinowska rodem z Torzeńca.

Kiedy wybuchła wojna, w pierwszych dniach nagle w Warszawie pojawił się Łdzi Malinowski, brat mojej matki, ale przebywał niedługo, bo kilkanaście miesięcy. Uciekał bowiem przed Niemcami z rodzinnego Torzeńca, wioski w południowej Wielkopolski, w której w pierwszych godzinach 1 września 1939 roku Niemcy dokonali mordu prawie wszystkich mężczyzn, których tej nocy zastali w domach. Cudem ocalał, bo wraz z kolegami uciekał z wioski i dotarł nawet do Warszawy.

W Warszawie udało mu się przeżyć, ale w drodze powrotnej w wyniku postrzału raniony był w nogę i w końcu wrócił w swe rodzinne strony.

Cudem ocalał też jego brat Adam, który „zaszył się w norze” w lesie i tam przeczekał tę śmiertelną hekatombę Torzeńca. Wszystkich wymienionych członków rodziny poza Adamem wojna zastała w Warszawie. W jakich okolicznościach więc udał się ten pierwszy z braci Jan vel Johan.

Jako młodzieniec, mając niespełna 20 lat, spotkał kiedyś cyganek, która swoją wróżbą sprowokowała Jana do wyjazdu do Warszawy. „Ty się tutaj synku marnujesz, ty jesteś powołany do wyższych celów, do wielkich rzeczy, ty musisz stąd wyjechać, gdzieś do du go miasta, a najlepiej do Warszawy, w tobie widać świetlaną przyszłość i ty masz wielki umysł i jesteś inteligentny i mądry”. Przemysłał tę przepowiednię, i tak też uczynił. A więc jesz-

## WIELKOPOLANIE W WARSZAWIE

cze w latach 20 tych wyjechał w nieznaną, a w Warszawie zgłosił się od razu na furtę do OO. Salezjanów, aby tam się dalej kształcić. Dość daleko zaszedł, ale kiedy miał iść do nowicjatu, nagle zdecydował żyć świeckim życiem, a potem wybuchła wojna

i Seminarium zlikwidowano. W Seminarium razem z nim studiowali między innymi: późniejszy arcybiskup poznański Antoni Baraniak oraz późniejszy prymas kardynał Stefan Wyszyński. Z tej nauki pozostała mu znajomość języka wło-



Warszawiacy: pierwszy od lewej Stanisław mój ojciec, obok niego Franciszek, dalej Jan, Maria, pozostali: Ludwik pierwszy z prawej, a w środku najmłodszy Edmund obok Jan, który jako pierwszy zamieszkał w Warszawie

skiego i niemieckiego.

W czasie wojny chronił go wiele razy autentyczny niemiecki Ausweis, ponieważ urodził się na początku stulecia w Aplerbeck w Westfalii w okręgu Dortmund i w dokumentach miał na imię Johan a nie Jan. W tych czasach wielu z Polaków wyjeżdżało na Saxy do pracy na kopalni.

W czasie wojny więc przypadkowo schwytany w łapance wraz ze swym bratem Stanisławem znalazł się w obozie w Lammsdorf/dzisiejsze Łambinowice na

Opolszczyźnie/ i po wylegitymowaniu, po kilku dniach został zwolniony z obozu, a mój ojciec w nim pozostał, chociaż był jego rodzonym bratem, ale urodzonym już w Polsce. Po powrocie do Warszawy Jan, zapoznał dziewczynę, która sprzedawała prasę i wyroby tytoniowe w kiosku na ruchliwej ulicy w Warszawie i przy niej funkcjonował jako pomocnik i kochanek. Następnie jako woźnica przewoził końmi z podwarszawskich wiosek i z Sochaczewa produkty żywnościowe, głównie warzywa i owoce oraz sery, jaja, maśła i kartofle

Przetrwał jakoś tę okropną okupację, a po wojnie już ożenił



Jan Kampa Franciszek Kampa  
Warszawa dnia 29 kwietnia 1927r.



Franciszek senior wraz ze swoją małżonką Rozalią i dziećmi Janem i Marią.



Jan wraz z żoną Pelagią Kulczak u góry a niżej ich córki: Mariola Turkowska i Elżbieta Guastallo, obie wraz z rodzinami mieszkają w Warszawie.

się z Wielkopolanką z rodzinnej swej miejscowości, dawną znajomą Pelagią Kulczak i z tego związku potem na świat przyszły dwie córki i syn: Mariola Andrzej oraz po kilku latach Elżbieta. Niestety po kilku miesiącach w 1953 r. Andrzej zmarł.

Po kilku latach do rodziny a właściwie do swej siostry Pelagii dołączyła jej siostra Władysława.

Jan przez wiele lat pracował w Warszawie w Hurtowni włókienniczej z metrażem. Żona była dość dobrą krawcową. Starsza z córek Jana i Pelagii Mariola wyszła za mąż za Zenona Turkowskiego i z tego związku na świat przyszli dwaj synowie Michał i Karol. Michał ożenił się z wrocławianką Katarzyną Bąk, z którą mają córeczkę Wiktorię.

Elżbieta natomiast wyszła za mąż za Włocha z Mediolanu Roberta Guastalla i są bezdzietni.

Zarówno Jan jak i jego żona Pelagia już nie żyją. Nie żyją też obie siostry Pelagii Władysława i Stanisława. Wszyscy pochowani są na brudnowskim cmentarzu w Warszawie, a Jan Kulczak nauczyciel i Stanisława na cmentarzu ostrzeszowskim w rodzinnym grobowcu. Należy też wspomnieć że Jan Kulczak jako jeden z pierwszych ostrzeszowia-ków został wywieziony przez Niemców do KL Dachau i o dziwo przeżył i doczekał się naturalnej śmierci.



Franciszek a z prawej jego żona Genowefa Ignor oraz ich synowie: Jerzy i Kazimierz

Franciszek brat Jana z zawodu introligator, wyczo-ny we Włoszech w Torino w okresie tuż przed wojną ożenił się z Genowefą Ignor a w czasie okupacji w Warszawie urodzili się trzej synowie: Zygmunt, Kazimierz i Jerzy. Zygmunt zmarł w 1939 r.

Kazimierz i Jerzy przetrzymali ten trudny okres okupacji i wraz ze swymi rodzinami mieszkają we Wrocławiu.

Franciszek senior rodziny nie doczekał końca wojny i stał się ofiarą mordu okupanta, kiedy został schwytany przez Gestapo na Dworcu Głównym, gdy sprzedawał ubrania robocze i buty gumowe, aby móc przetrwać kryzys okresu okupacji. Gestapo sądziło że nie jest to zwykły sprzedawca, a tylko szpicel lub tajny konfident. Po wywiezieniu go na Aleje Szucha i Pawiak 28 maja 1942 roku został wywieziony pod Warszawę i tam w lasu został przez Niemców zastrzelony z grupką podobnych „kombinatorów”. Rzeczy osobiste zapakowano w kartonie i przekazano rodzinie na pamiątkę, bez jakiegokolwiek komentarza. Na kartce jedynie napisane było że nie żyje. Żona Genowefa wraz z dwojgiem synów musiała teraz bez środków do życia egzystować w okupowanej Warszawie. Razem z nami dostała się na koniec do Obozu Przejściowego do Pruszkowa, skąd podobnie jak my

pociągiem towarowym wróciła w swe rodzinne strony Południowej Wielkopolski..

Lata minęły syn Jerzy ukończył w Koszalinie Oficerską Szkołę i ożenił się z Ireną Krzywicką z którą mają syna Mirosława. Mirosław ożenił się z Ewą Krzywicką z którą mają syna Rafała i córkę Ewelinę.

Drugi Kazimierz ożenił się z Teresą Sztachelską i mają syna Krzysztofa, który ożenił się z Beatą Olek i mają dwóch synów Konrada i Igora.

Los mojej rodziny i rodziców pochodzących z Ostrzeszowa i jego okolicy były szczególnie wyjątkowe i trudne, a może dla wielu rodzin podobne, bo byliśmy przecież Polakami z krwi i kości.

Ojciec Stanisław zaraz po wojsku, które odbył w Korpusie Ochrony Pogranicza w Kownie na kresach wschodnich, wzo-rem starszego brata Jana już nie powrócił do Ostrzeszowa został w Warszawie. Po kilku miesiącach do niego i za jego namową dołączyła jego dziewczyna i przyszła żona i moja matka Helena Malinowska.

Kiedy wybuchła ta straszliwa wojna ojciec mój otrzymał kartę mobilizacyjną z rozkazem stawienia się w swojej jednostce macierzystej do Kowna. Z wielkimi problemami dotarł na miejsce, ale zastał jedynie nieumundurowanych i nieuzbrojonych kolegów, którymi zajęli się Rosjanie, którzy 17 września 1939 niestety napadli na nasz kraj.

Podzieliłby niechybnie los innych Polaków, ale jako zwykły szeregowiec nie został przewieziony do Kątynia, czy Ostaszkowa a wywieziony do Równego a tam przekazany Niemcom. W ten sposób został z innymi przetransportowany do obozu w Neuen Brandenbura, z którego udało mu się zbiec i skryty pod wagonami cysternami dostał się z transportem do Blechhammer dzisiejszej Blachowni Śl. k/Kędzierzyna. Następnie też transportem kolejowym przedostał się do Warszawy. Nie wpuszczony do miesz-

kania swojej dziewczyny, ze względu na godzinę policyjną schronił się w piwnicach tego domu.

Cztery razy otarł się o śmierć, schwytany przez Niemców zdołał im uciec i ocalał swoje życie. Drugi raz schwytany w łapance na ulicach Warszawy, kiedy na chwilę przystanął, aby sobie trochę porozmawiać ze swoim bratem Janem. Dostał się wraz z nim do obozu Lammsdorf dzisiejsze Łambinowice na Opolszczyźnie, do budującego się właśnie obozu dla jeńców rosyjskich i innych. Tam dzięki pomocy wartownika Ślązaka udało mu się z tego obozu uciec przez dziurę w ogrodzeniu, które jeszcze nie było „pod prądem”.

Znów znanym mu sposobem pod wagonami przedostał się do Warszawy, ale ponownie ze względu na godzinę policyjną, udał się do domu w którym mieszkał jego brat Franciszek. Niestety mieszkanie było zapieczętowane i wyludnione. Okazało się że brat został właśnie zamordowany przez Niemców na Pawiaku, a rodzinę wysiedlono gdzie indziej.

Trzeci raz również w momencie rozmowy z bratem na ulicy został łapaną wrzucony do „budy” i wywieziony na Rakowiecką do kwatery Głównej Gestapo. Prowadzony przez żandarmów nagle wyrwał się im, zostawiając w ich rękach swoją marynarkę z dokumentami osobistymi. Udało mu się

uciec, zanim żandarmi zdolałi oddać strzał w jego kierunku. Od tej pory nazwisko Kempa było u Niemców szczególnie poszukiwane i w takiej sytuacji za pośrednictwem Ambasady Francuskiej i Antoniego Dygata seniora i ojca znanego pisarza, posiadającego paszport francuski i znajomości w tej Ambasadzie otrzymał podrobiony przez pułkownika Testara paszport na nazwisko Witold Jankowski i w ten sposób mógł się swobodnie poruszać po Warszawie i uniknąć łapanek.

Czwarty raz i ostatni uniknął śmierci, kiedy ludność z Woli wysiedlano na Zieleniak a potem do Obozu Przejściowego do Pruszkowa. Przebrany za kobietę w sukni, trzymając mnie na rękach wraz z innymi kobietami przedostał się na stronę bezpieczną. Pozostałych wywożono do KL. Auschwitz lub Dachau. Taki był los Polaka i z pewnością nie był to przypadek wyjątkowy, bo wielu Polaków dzieliło podobny los nieszczęśnika.

Ja Konrad Kempa urodziłem się w Warszawie 31 marca 1943 roku w Szpitalu na Czerniakowie, natomiast mieszkaliśmy po sąsiedzku z państwem Dygatów w Warszawie przy ul. Glogera obok Instytutu Radowego.



Bracia Jan i Stanisław w Warszawie, obok ich siostra Maria a po prawej ojciec Stanisław z lewej. Zdjęcie wykonane w obozie pracy jenieckim w Neubrandenburgu /Niemcy/rok 1940/



Stoję/autor wspomnień/ a w wózku o trzech kótkach moja siostra Danuta. Pole Mokotowskie 31 VII 44 na dzień przed wybuchem Powstania Warszawskiego a obok z moją mamą na ulicach Warszawy

24 kwietnia 1944 roku urodziła się moja siostra Danuta a za kilka miesięcy wybuchło Powstanie Warszawskie. Potem wypędzono nas z Warszawy i osadzono w Obozie

Przejściowym w Pruszkowie. Po chwilowym pobycie na podłowieckiej wsi, na koniec wojny zostaliśmy transportem kolejowym wywiezieni w swoje rodzinne strony.

Była zima, kiedy wracaliśmy do domu rodzinnego. W odkrytych wagonach przy sypiącym grubymi płatami śniegu, bez ciepłej odzieży. Siostra moja Danuta w kartonie leżała na sianku jak Jezus kiedyś w Betlejem.

Po wojnie w 1950 roku urodził się nam brat Janusz, który obecnie mieszka w Sycowie. Jego żona Elżbieta Świergiel. Dwaj synowie: Paweł mieszka wraz z rodziną w Brzeziej Łące pod Wrocławiem, i Jacek mieszka wraz z rodziną w Ostrzeszowie.

Siostra Danuta wyszła za mąż za Zbigniewa Mamys /nie żyje/ i mają dwóch synów: Roberta i Damiana. Wszyscy naturalnie pochodzą z Ostrzeszowa.

Maria jedyna siostra w rodzinie urodzona jak jej



Maria Kempa a obok ze swoim bratem Stanisławem w Warszawie.

brat Jan w Aplerbeck w Niemczech, jeszcze przed wojną wyjechała też do Warszawy. W Ostrzeszowie należała do wielu Towarzystw w tym do Sodalicii Mariańskiej a w okresie Świąt Wszystkich Świętych, uczestniczka kwesty przy murach cmentarnych na rzecz ubogich. Do końca swego długiego życia a przeżyła 96 lat pozostała singielką. Wpierw zaangażowała się jako

opiekunka syna Krzysztofa z Dołska k/Śremu dalej moja matka Helena i Bronisława Mogulewska opiekunka Stanisława Dygata znanego pisarza. Zdjęcie wykonane w ukryciu na drugim planie widać żołnierzy Wehrmachtu. Warszawa rok 1940

Od lewej koleżanka Pelagia Tomczak z Dołska k/Śremu dalej moja matka Helena i Bronisława Mogulewska opiekunka Stanisława Dygata znanego pisarza. Zdjęcie wykonane w ukryciu na drugim planie widać żołnierzy Wehrmachtu. Warszawa rok 1940

Opiekunka syna Krzysztofa z Dołska k/Śremu dalej moja matka Helena i Bronisława Mogulewska opiekunka Stanisława Dygata znanego pisarza. Zdjęcie wykonane w ukryciu na drugim planie widać żołnierzy Wehrmachtu. Warszawa rok 1940



rok 1947 z wujkiem Idzi /rok 1953 wujek Idzi buduje sobie dom w Torzeńcu

Idzi Malinowski /brat matki/ Torzeniec rok 1947.przy grocie oraz przy budowie swojego domu

Rodzina Stanisława Kempy i Heleny Malinowskiej: od lewej Konrad/43/ a obok Janusz/50 i Danuta/44/ Brat mamy Idzi Malinowski wrócił z Warszawy w swoje rodzinne strony, jak tylko się sytuacja w miarę uspokoiła i ożenił się ze Stanisławą Światoń i z tego związku na świat przyszli trzej synowie: Mieczysław, Henryk i Edward. Wszyscy osiedlili się na ziemi Południowej Wielkopolski. Wszyscy synowie już nie żyją. W Warszawie do dziś żyją obie córki Jana czyli Mariola Turkowska ze swoją rodziną oraz druga z córek Elżbieta z Roberto Guastallo- jako małżeństwo bezdzietne.



rodzinka:od lewej ja mama Janusza Danusia i Tato rok 1954 Ostrzeszów

**JAPAN PRIZE TARKOWSKIEGO**

Profesor Andrzej Krzysztof Tarkowski jest pierwszym polskim naukowcem, któremu przyznano prestiżową nagrodę Japan Prize, nazywaną japońskim Noblem. Ma 68 lat. Całe jego życie zawodowe związane jest z Uniwersytetem Warszawskim (tu w 1955 r. zrobił magisterium). Zajmuje się embriologią zwierząt, czyli nauką o tym, w jaki sposób z zapłodnionej komórki jajowej powstaje nowy skomplikowany organizm. Wziął się nie za badane wcześniej kijanki czy zarodki kurczaków, lecz za bliżej spokrewnioną z człowiekiem mysz.

SLAWOMIR ZAGÓRSKI



rodzeństwo z małżonkami rok 2004

Dzieci Stanisława i Heleny Malinowskiej wraz ze swymi partnerami małżeńskimi Niestety Zbigniew Mamys mąż Danuty/ ten w środku/ już nie żyje. Niżej moja ostrzeszowska rodzina lata pięćdziesiąte Zdjęcie rodzinne z prawej:Brak jest tylko Franciszka, który w czasie okupacji został przez Niemców zamordowany na Pawiaku w Warszawie w roku 1942. Od lewej siedzą: Ludwik jego matka Rozalia Rospek Kempa jej mąż i ojciec rodziny Kempa Franciszek dalej syn Jan a wyżej od lewej stoją Stanisław jego siostra Maria i Edmund najmłodszy z rodzeństwa. Ostrzeszów lata pięćdziesiąte./Foto Feige/

Losy ostrzeszowiaków w czasie okupacji hitlerowskiej były szczególnie dotkliwe i okropne. Ludność miast leżących na pograniczach w szczególny sposób była przez okupanta prześladowana i mordowana. W pierwszych dniach wojny w celu zastraszenia likwidowano nie tylko patriotów lokalnych, ale też urzędników, nauczycieli i przedstawicieli władzy.

Kempa Konrad



prof.Krzysztof Tarkowski niestety już nie żyje. Zmarł nagle w roku 2016.,obok wśród .pędzonych mieszkańców Ostrzeszowa do obozu w Dachau w pierwszym rzędzie z lewej idzie jeden z krewnych naszej rodziny Jan Kulczak nauczyciel

Spotkania z ostrzeszowianinem, panem Konradem Kempą, gdy przyjedzie do rodzinnego miasta, są dla mnie małym świętem. Rozmówca w barwnych opowieściach przybliży mi czasy, które też pamiętam od ok. 1964 r. Mam ciągle jeszcze przed oczyma konny transport, nieliczne samochody na brukowanych uliczkach. Plac Stawek, bezpieczny, bo prawie nieprzejezdny, był rajem dla dzieci, które urządzały sobie tutaj rozmaite zabawy. W latach przed- i powojennych, kiedy nikt nie miał telewizora, laptopa, a radio było rzadkością (z wyjątkiem „pętelki”, czyli lokalnego radiowęzła i telefonów na korbkę), dzieci bawiły się na dworze, wymyślając gry rozbudzające wyobraźnię i ćwiczące zręczność.

Później, gdy zaczęły powstawać nowe bloki, w mieście pojawiło się sporo piaskownic, huśtawek i popularnych trzepaków.

W. K.: Panie Konradzie, proszę opowiedzieć o zabawach i miejscu, które szczególnie Pan zapamiętał.

K. K.: Dzieci bawiły się najczęściej zabawkami wykonanymi własnym sumptem, albo – jeśli przyszło im więcej w danej chwili – wymyślały gry zespołowe. Biegało się za piłką wzdłuż ulicy Daszyńskiego; tam też można było grać w klasy, w dwa ognie, wchodząc w role milicjantów (żandarmów) i złodziei, urządzać podchody itp.

Gra w stekla (sztekla) polegała na jak najdalszym wybiciu zaostrego w dwóch końców patyka. Służył do tego drugi kij, o wiele dłuższy. Podbijanie sztekla odbywało się na kocich łbach, a kij leciał daleko! Uganianaka na ulicy polegała na rzucaniu piłką palantową lub do tenisa ziemnego jak najdalej – tak, aby drugi uczestnik zabawy musiał ją doganiać. Kiedy ją już złapał, to dawał przeciwnikowi. Koniec ulicy był końcem gry. W klipę grało się nożem. Należało wybić go z dowolnej części ciała: z główki, czoła, nosa, brody, barku, palców. Gdy nie wbił się w ziemię, następowała skucha. Inną wersją była gra w obszary. Nóż wbity w ziemię wskazywał, jaki teren ma być zagarnięty, zabrony. Jazda obręczą koła rowerowego odbywała się przy pomocy prowadnicy – popychacza wykonanego ze specjalnie wygiętego drutu. Podrzucanie kamyków polegało na sprawnym łapaniu kolejno coraz większej ich ilości z dość równego podłoża, najlepiej z koca. Podrzucając jeden, należało z dołu złapać następnego. Wypadnięcie któregośkolwiek było

## Zabawy, zabawki, dzieciństwo spędzone w Ostrzeszowie – w latach powojennych



skuszeniem. Gra piłką o mur to wyrzut piłki na ścianę z dowolnej części ciała, ustalonej na początku gry, np. z główki, barku, drugiej ręki, kolanka itp. Odbijanie monetą o ścianę wiązało się z tym, aby spadające pieniądze zbliżały się do leżących już na ziemi. Podobnie było z monetami lub kamyczkami wrzucanymi do wydrążonych dołków. Z kolei zabawa pojazdem wymagała już pewnej pomysłowości. Pojazd wykonany był ze szpulki od nici z wyciętymi zębami na obydwu kołnierzach. W otworze szpulki przeciągnięta była guma (np. od weków) zakończona patykiem. Po skręceniu gumy zabawka się poruszała, a patyk opierał się o podłoże. Aby strzelać z klucza i z gwoździa, do otworu klucza wpychało się siarkę siarkę zeszkobaną z zapatek, a następnie za pomocą uderzenia gwoździa na sznurku



powodowało się wystrzał. Wkładano też karbid do puszek i polewano zawartość wodą. To też powodowało wybuch i smród. Zabawy drachem, czyli latawcem, odbywały się jesienią. Wykonywano go własnoręcznie z patyków

i kolorowego pergaminu. Praktykowane było powszechnie puszczanie samolotów z papieru. Głuchym telefonem nazywano rozmowę przy pomocy dwóch puszek i długiej linki lub rozciągniętego między puszkami drutu. Aby zagrać w piekło i niebo należało wykonać z kartki papieru specyficzne polskie origami. Środek zaznaczano na czarno i biało – stąd nazwa. Strzelanie z katapultu wymagało zrobienia samodzielnie procy z widełek drewnianych, gumy przywiązanej do rozwidleń i skórki, do której wkładano kamyk. Cymbergaj to gra planszowa w piłkę nożną na gładkim blacie, z bramkami z drutu i firanki. Piłkarzami były dwie równe monety, a piłką mały pieniążek. Przesuwanie odbywało się przy pomocy grzebienia. Zabawy w dwa ognie, w chowane-go, berka, wywoływanek, skakanek, klasy, podchody, żandarmów i złodziei – przeprowadzane były według powszechnie znanych zasad. Dwie ostatnie rozgrywane były najczęściej w sąsiedztwie placu Stawek, czyli



w obrębie ulic: Chmielnej, Garncarskiej, Piekary, Strumykowej, Łaziebnej i Daszyńskiego.

W.K.: Gdy Pana słucham, stają mi przy przed oczyma opisywane zabawy, bo też dobrze je znam z dzieciństwa. Bywało, że bawiliśmy się cały dzień, od rana do wieczora, a jednak nie czuliśmy głodu, prawda?

K.K.: Nie było czasu na posiłek i picie! Często w biegu wskakiwało się do domu, aby wrócić po chwili z pajdą chleba w brudnej ręce. Kromka chleba, czyli skibka, polana była kawą zbożową, wodą lub mlekiem i posypana cukrem. Panie Wiesławie, dla mnie był to wyjątkowy przyśmak, pamiętający jeszcze czasy okupacji w Warszawie, kiedy głodny wołałem do mamy: „kibi solą”, bo tylko te słowa potrafiłem nieudolnie wymówić. „Kibi” to skibka, a „solą” – z solą, ponieważ myliłem sól z cukrem.

Zmęczone dzieci odpoczywały na progach, schodach i w sieniach domów, a u wlotu Strzegowy do kanału przemywały spocone twarze i piły, bo struga niosła czystą, źródlaną wodę.

Niekiedy podczas grupowych zabaw zapuszczaliśmy się w dalsze rejony: placu Borek, baszty, kościoła farnego, cmentarza, tzw. kisyh dołów, autostrady, kąpielki, cmentarza ewangelickiego, obecnej Alei Wolności czy nawet do zbiegu ulic św. Mikołaja i Wieluńskiej, gdzie zimą na miejscu dzisiaj-

szego boiska SP nr 1 można było do późnych godzin nocnych szaleć, zjeżdżając na sankach z górki zwanej „Na Węcla”.

W.K.: Jakie były Pańskie wrażenia, gdy po 60-70 latach przyjechał Pan do Ostrzeszowa?

K.K.: Byłem rozczarowany, widząc Borek w całkiem nowej odsłonięciu z pawilonami handlowymi i przychodnią lekarską. Zamiast kaflarni jest dzisiaj szpital – całkiem niezłe rozbudowany. Miejsce ogrodów pana Trzeciaka zajęły parking przy cmentarzu. Zniknęły też nasze łańcuchy i „gródki”, gdzie kryliśmy się podczas zabawy w chowanego.

W. K.: Wracają wspomnienia...

K.K.: Tak. Na przykład w uganianie piłką palantową lub tenisową napotykaliliśmy często przeszkodę w po-

staci lin konopnych pana Inerowicza. Produkował je ze sznurków, splatając specjalnym wrzecionem. Ze względu na długość lin bywał zmuszony przekraczać ulicę i wtedy nie mogliśmy po niej biegać. W rejonie ulicy Łaziebnej u panstwa Wrzesińskich był „głupi Józek”, któremu nie podobały się nasze zabawy, bo drażniliśmy go wyzwiskami. Z kolei „Pytyjonek”, czyli Janek Piechota z sąsiedniego domu, który kiedyś był szpitalem czy sanatorium, lubił nas i był doskonałym kompanem mimo niepełnosprawności umysłowej.

Na ulicach grało się w piłkę nożną, dwa ognie i wywoływanek, a bramkami były trzepak i bramy kamienic. Kiedyś tato przywiózł mi z delegacji oryginalną piłkę do nogi. Ależ to była sensacja! Piłka była szyta, ze sznurowaniem i dętką. Kiedy się ją kopało, miało się wrażenie, że noga odleci, a sznurowania raniły stopę.

W.K.: Panie Konradzie, to były bardzo interesujące opowieści o Pana dzieciństwie (po trosze i o moim). Dziękuję za ten powrót do Ostrzeszowa lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.



## Ostrzeszowianin Szymon Chwalisz - maluje GOLFA dla Jurka Owsiaaka - 2018.



## Spotkanie w Ostrzeszowie z Panem prof. Janem Miodkiem i Panią Teresą Miodek

Z Profesorem i jego Małżonką dane mi było spotkać się dwukrotnie. Po raz drugi mieliśmy okazję porozmawiać w mieszkaniu pana Marka Cieplika. Przyznam, że na to powtórne spotkanie bardzo czekałem.

**W.K:** Jak to się stało, że skierował Pan kroki w stronę naszego miasta?

**J.M:** Mam kilka takich miejsc, do których ciągle wracam i to w dodatku wracam bardzo rytmicznie w określonej porze roku. Na przykład: w ostatnią niedzielę listopada nie mogę nie być na Górnym Śląsku, bo tam się odbywa wielki konkurs gwarowy. Od samego początku, czyli od przeszło 25 lat jestem tam przewodniczącym jury, dlatego już w ostatnią sobotę miesiąca zawsze zjawiam się w Katowicach, w rozgłośni Polskiego Radia, ponieważ tam są zmagania półfinałowe. W ostatnią niedzielę natomiast odbywa się wielki finał konkursu w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze. Wiadomo więc, że Miodek w tę sobotę i niedzielę listopada musi być w Katowicach i Zabrzu. Teraz już od wielu, wielu lat zawsze gdzieś w październiku nie mogę nie być w Ostrzeszowie, bo tu Wasz wspaniała krajan, maestro Jan Ślęka przyjeżdża ze swoją Wrocławską Orkiestrą Festiwalową, z solistami i daje koncert. Tak się złożyło, że już prawie od 20 lat jestem konferansjerem jego koncertów. Nawet dzisiaj przed śniadaniem wspominałem w rozmowie z żoną panią Ludwikę Ślękową. Na pierwszym roku studiów pytała mnie z literatury staropolskiej. Bałem się jej wtedy trochę i nawet nie przypuszczałem, że pół wieku później będę prowadził koncerty jej męża i przejdę nawet z nim na ty. Tak się czasem w życiu układa. Ale z nią na ty nie jestem. Zawsze zwracam się do niej: Pani Profesor, a ona mi mówi: Panie Dyrektorze. Ten tytuł bierze się stąd, że ja, jej student, w 1989 roku zostałem jej przełożonym. Nigdy nie dawałem tego odczuć, raczej byłem antyszefem w naszych relacjach.

Wtedy wybrano mnie na Dyrektora Instytutu i tę funkcję pełnię prawie 30 lat, natomiast pani profesor przeszła na emeryturę wiele lat później.

**W.K:** Proszę opowiedzieć bardziej szczegółowo o prowadzeniu koncertów.

**J.M:** Zaczęło od Jubileuszu Trzechsetlecia Uniwersytetu Wrocławskiego. Pamiętam, że wróciłem chyba w środę lub w czwartek z miesięcznego pobytu w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, a już w sobotę w Hali Orbita we Wrocławiu pierwszy raz prowadziłem koncert pod batutą Jana Ślęka. Był to Rok Pański 2002. Moja współpraca z nim trwa czternaście lat. Cóż mam powiedzieć o profesorze Ślęku: to człowiek ciepły, radosny, pełen humoru.

**W.K:** Był teraz wcześniej koncert we Wrocławiu...

**J.M.:** Tak, z okazji 60-lecia jego pracy. Już od stycznia roku 1956 Jan Ślęka był etatowo zatrudniony w Operetce Wrocławskiej. Potem przeszedł przez Operę Wrocławską, dalej była Symfonia przy Filharmonii Wrocławskiej, kierownictwo symfoniczne Opery w Dubrowniku i koncerty w całej Europie. I wreszcie dzieło jego życia. W latach 1990 stworzył tzw. Festiwal Muzyki Wiedeńskiej od Josepha Lannera do Roberta Stolza. To jest coś wspaniałego. On z reguły z tym repertuarem przyjeżdża do Ostrzeszowa. Dzisiejszy koncert będzie prawie powtórzeniem tego wrocławskiego, chociaż jak go znam - zawsze wprowadzi jakąś dedykację. Wczoraj przeżył dramatyczny moment, bo solista mu się rozchorował. Był jednak na tyle operatywny, że znalazł zastępstwo. Wystąpi więc taki solista, którego miało nie być. Natomiast Karina Skrzyszew-



ska pojawi się bez zmian.

Wspomnę jeszcze o koncercie wrocławskim. Jan Ślęka jest chlubą Wrocławia, więc koncert odbył się Narodowym Forum Muzyki. Zrobiono to w wielkiej, największej sali, bilety były wyprzedane do ostatniego miejsca. Maestro został bardzo, ale to bardzo uhonorowany przez władze miasta, uniwersytetu i przez widzów.

**W.K:** Wróćmy jednak do Ostrzeszowa.

**J.M.:** To może powiedzmy coś o Ostrzeszowie i Mikstacie. Po jubileuszowym koncercie, podczas którego fetowaliśmy Jana Ślęka, podeszły do mnie panie ostrzeszowianki. Przyjechały specjalnie na tę uroczystość. Zaczęły dziękować za odcinek mojego telewizyjnego serialu Polska z Miodkiem, poświęcony Ostrzeszowowi i Mikstacowi. Mówiły jednak z żartobliwą pretensją: Czemu o nas było tak krótko, a o Mikstacie długo? Odpowiedziałem, że ani o Ostrzeszowie nie było krótko, ani o Mikstacie nie było długo, bo z założenia wypowiedzi są impresjonistyczne, króciutkie - trzy, maksimum cztery minuty. Rzeczywiście w ciągu tych trzech minut można było tylko minutę poświęcić Ostrzeszowowi, a dwie minuty Mikstacowi, ale to wynika z tego, że nazwa Ostrzeszów jest bardzo prosta, porównywalna do Janowa czy Wojciechowa. Wiadomo, że nazwa miejscowa Janów musiała powstać od imienia Jan. Wiadomo, że nazwa miejscowa Wojciechów musiała powstać od imienia Wojciech. Ostrzeszów został utworzony od starego rejestrowanego imienia Ostrzesz za pomocą przyrostka -ów. Kropka, szlus, nic więcej nie trzeba mówić. Jeśli chodzi o etymologię, jest to prosta nazwa

miejscowa. Mikstat jest ciekawszy i bardziej złożony. Proszę sobie wyobrazić, że ten Mikstat był na początku Komorowem. Najprawdopodobniej osadnicy niemieccy, którzy tu przybyli, słysząc nazwę Komorów skojarzyli ją z komarem. Komar po niemiecku to Mücke. I tak się narodził Mikstat, wymawiany przez polską ludność nie przez „sz”, ale „s”. Do dzisiaj jest Mikstat. Zresztą rodzinne miasto prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza. Wszystkie leksykony nazewnictwa eksponują wspomniany bardzo ciekawy motyw komara. Ostrzeszów zaś to było miasto starostów, ważne, bo na szlaku między Śląskiem a Wielkopolską. Ilekroć z Janem Ślękiem jadę, to on zawsze w pewnym momencie podróży mówi: Patrz, tu była granica.

Zwracam się do Pani Teresy Miodek:

**W.K:** Chciałbym zapytać o wrażenia z godzinnej wycieczki po Ostrzeszowie i okolicy, którą odbyła Pani z w towarzystwie Jana Marka Cieplika, podczas gdy my rozmawialiśmy z Profesorem.

**T.M.:** Wielkopolska do tej pory kojarzyła mi się z równinami. A tutaj piękne pagórki, wzniesienia. Pamiętam, jak mi mówiłeś (zwraca się do męża), że z naszego wrocławskiego siódmego piętra oglądaliśmy kontynuację Wzgórz Trzebnickich. Jest to jedno pasmo Wzgórz Ostrzeszowsko-Trzebnickich. Pan Cieplik powiedział mi, że to są to tereny polodowcowe. Pytałam o mikroklimat Ostrzeszowa i dowiedziałam się, że chorzy przyjeżdżali tutaj na rekonwalescencję. Wkoło ciągną się lasy, cały wasz teren jest piękny, urozmaicony. Dzisiaj, przy tej cudownej pogodzie, odwiedziłam krótko Rogaszyce, Rojów, Kobylą Górę. Oczywiście z okien auta. Jestem zachwycona pięknem terenów. Objechaliśmy miasto, te śliczne uliczki, klasztor, kościoły, ryneček, teren basenu i strzelnicy.

**W.K:** Jakie są Pani rodzinne powiązania z Wielkopolską?

**T.M.:** Józef Taczanowski, ojciec Edmunda, mojego pradziadka, był starostą ostrzeszowskim. Wywodzę się z tego samego pnia; wiadomo, rodzi się się rozgałęziła. Dodam jeszcze, że

nie ma osób o nazwisku Taczanowski, które by nie były rodziną, to takie nazwisko typowo poznańskie. Organizujemy zjazdy rodzinne co kilka lat. Pierwszy odbył się przed wojną, gdy generał Edmund Taczanowski był ekshumowany i został pochowany w Choryni pod Kościanem - tam, gdzie A. Mickiewicz napisał „Redutę Ordona”. Historycy wspominają, że Mickiewicz, gdy przyjeżdżał do Choryni, najwięcej czasu spędzał u Józefa Taczanowskiego. Wspominają również, że opisy dworów na Litwie w jego dziełach są opisami dworów wielkopolskich. Twierdzą, że w „Panu Tadeuszu” występują wielkopolskie realia, a kościółek z ostatniej księgi to świątynia w Choryni.

Z tego, co wiem, firma „Danko” odnowiła dworek Taczanowskich i dba o całość. Obok tego budynku jest okazała oficyna. Zwiedzającym pokazuje się okno pokoju, w którym mieszkał poeta. Jest tam wmurowana tablica. Na tej uroczystości był Odrowąż - Pieńiążek, dyrektor Muzeum Adama Mickiewicza w Warszawie i wspominał swego dziadka, który był adiutantem generała Taczanowskiego. Drugi zjazd rodzinny odbył się po wojnie w Kiekrzu. Ja jestem pogrobowcem, nie znałam swojego ojca nigdy. Zamordowało go Gestapo w 1944 roku, na miesiąc przed moim urodzeniem i dla mnie ta wizyta u was to jest poznanie Wielkopolski i moich korzeni. Opowiadać mogę dużo więcej, jednak dokończę przy naszym następnym spotkaniu, a teraz oddaję głos mężowi.

**W.K.:** Dziękuję bardzo, Pani Tereso. Panie Profesorze, wróćmy jeszcze do pochodzenia nazw miejscowych. Co Pan powie o miejscowościach: Grabów, Doruchów i innych w pobliżu?

**J.M.:** Grabów od grabu. Może być od nazwiska rodziny, ale raczej od drzewa, czyli realiów terenowych. Podobnie jak: Świerczyn, Świerczyna, Sosnowiec. Natomiast Doruchów, jak przypuszczam, pochodzi od imienia (nazwiska) Doruch. Blisko macie Ostrów. To jest wyraz, w którym nie ma żadnego przyrostka -ów. Tylko w Ostrowie (Wielkopolskim czy Tumskim) kryje się historyczny przedro-

stek o-. Sama nazwa jest kontynuacją praindoeuropejskiego strou, o znaczeniu: płynąć. Wszystko się zgadza: Ostrou - miejsce opłynięte, otoczone wodą. Zatem w Ostrowie kryje się ten sam rdzeń, który mamy w niemieckim słowie Strom - znaczącym tyle co prąd i w angielskim słowie stream - znaczącym tyle co prąd / tendencja. Natomiast Odalanów pochodzi od Odolana. Bardzo lubię być w Antoninie. Fryderyk Chopin, pałacyk, piękne lasy... no i nazwa od Antoniego Radziwiłła. Powiem Panu przy okazji, że w Antoninie spotkałem się z Violetką Villas, ostatni raz przed jej śmiercią. Promowałem tomik poetycki jednego ze swych byłych studentów. To była pierwsza część tego wieczoru, a w drugiej części wystąpiła V. Villas. Jak to ona, spóźniła się dwie godziny (podobno to u niej notoryczne). Czekano na nią z trzysta osób, doczekało się 50. Ale to już jej wina.

**W.K:** Wróćmy do Ostrzeszowa.

**J.M.:** Właśnie chcę podkreślić, że pan Marek Cieplik zawsze nas obwozi po tych najurokliwszych miejscach i opowiada o nich. Dzisiaj pokazywał okolicę żonie, ale i mnie zawiózł do Siedlikowa, rodzinnej miejscowości Mariana Pilota. Byłem też w Mikstacie. Bardzo przybliżył mi historię ziemi ostrzeszowskiej. Mój sentyment jest w tej chwili podwójnie rodzinny, bo właśnie jednym ze starostów, jak żona wspominała, w przeszłości był któryś z Taczanowskich, a moja żona jest z domu Taczanowska. Wszyscy oni z sobą są spokrewnieni. Jest ich niedużo i pochodzą z Wielkopolski, dlatego tak bardzo chciała przyjechać do Ostrzeszowa. Najsynniejszy jest Edmund Taczanowski, generał powstania styczniowego. Wszystko co wielkopolskie jest jej drogim, a już jak trafi na ślad Taczanowskich, to pędzi w to miejsce jak na skrzydłach, dlatego cieszę się, że mogłem ją dzisiaj wziąć do Ostrzeszowa.

**W.K:** Jaka będzie Pańska konferansjerka dzisiejszego wieczoru?

**J.M.:** No, nie mogę nie powiedzieć o Janie Ślęku. Z tego, co wiem, też szykujecie mu jakąś fetę. (W przerwie pojawił się ogromny tort, którym Jubilat czę-

stował całą widownię, śpiewającą mu „Dwieście lat!”). Jestem językoznawcą i oprócz uroczego Jana Ślęka i jego dokonań muzycznych, dyrygenckich, opowiadam anegdoty, żarty czy zakulisowe opowiadki. Musi być i podnośle- bo jubileusz- i wesoło. Będzie też o Straussie i Kalmanie.

**W.K:** Przyszedł czas, aby zapytać o tworzenie nowych wyrazów. Jak Pan ocenia współczesne słownictwo?

**J.M:** Już mówię. Muszę w tym momencie nawiązać do drugiego mojego programu, emitowanego raz w tygodniu (Słownik polsko@polski, sobota, godzina 17.00). Nadawany jest od roku 2009. Otóż integralną, stałą częścią tego programu jest sonda uliczna. Na moją prośbę prowadzący ją pytają ludzi o znaczenie wyrazów. Dbamy, żeby było 50 % słów starych, jak nazywam je: inteligentnych, 50% nowych. Chcę sprawdzić, czy ludzie wiedzą np., co to jest ewidentny, co to jest koincydencja, albo co znaczy permanentny. Okazuje się, że to, co jest dla mnie oczywistością, dla młodych osób już tą oczywistością nie jest. Z drugiej strony w każdym programie dajemy pytanie o słowo zaczerpnięte z gwary młodzieżowej. Pan jest młodszy, ale na pewno ani za Pana życia, ani za mojego ileś tam lat dłuższego, nie było jeszcze okresu, w którym gwary młodzieżowe przeżywałyby taki rozkwit jak w tej chwili. Twórczość ludzi młodych w tej chwili nie ma granic. Nie ma tygodnia, żebym nie zapoznał się z lawiną nowych wyrazów. Każda ta sonda uliczna przynosi mi takie nowinki, ja się też ich dopiero uczę. Musimy sobie jednak powiedzieć jasno: jako całe polskie społeczeństwo jesteśmy przeżarci mową wulgarną. Pełną nienawiści. I to jest jedna prawda w naszej polszczyźnie. I wulgarne, bardzo wulgarne jest słownictwo naszych dzieci, wnuków. Słownictwo najmłodszych pokoleń. Kiedy otworzę okno, słucham odgłosów dobiegających z boiska piłkarskiego. Cieszy mnie, że młodzi grają, a nie siedzą murem przy komputerach. Ale proszę Pana, słyszę tylko: k\*\*\*a, ja p\*\*\*\*\*ę. I to jest z jednej strony euforia, bo ktoś strzelił bramkę, a z drugiej strony rozczarowanie- o, zawałił, nie strzelił. Przed przyjazdem do Ostrze-

szowa zdążyłem jeszcze przeczytać wywiad z księdzem Bonieckim, który ubolewał wraz z dziennikarką przeprowadzającą wywiad, że tak się strasznie nienawidzimy. Na pytanie o to, kiedy rowy nienawiści zostaną zakopane, odpowiedział: „Nie wiem. Za mojego życia na pewno nie. Może dzieci, może wnuki...” To jest bardzo straszne. Bywały np. za Piłsudskiego złe rozmowy, ale myślę, że tak strasznych słów nie używano.

**W.K:** Przypomina mi się język dzieci kwiatów, hipisów. Czy jednak był tak zły?

**J.M:** Tak, ale to nie było chamskie. Z drugiej strony, nie można nie widzieć, że to wszystko jest bogatsze. Jeszcze 30 lat temu mówiłem, jak to trzeba z wyczuciem stylistycznym posługiwać się słowem fajnie. Proszę zauważyć: zarówno w Pana czasach młodości, jak i w moich czasach młodości było to jedyne nieoficjalne słowo, któremu w polszczyźnie oficjalnej odpowiadały formy typu: wspaniały, cudowny, fantastyczny. To my na potrzeby polszczyzny mieliśmy jedno słowo: fajny. A proszę zobaczyć, oni dzisiaj mają: fajny, super, wypasiony, full wypas. Ile oni tego mają: cool, spoko. Oni mają osiem, dziesięć wariantów. My mieliśmy tylko słowo- fajnie! A pamiętacie: fajnie to ma pies pod ogonem. Ja też pamiętam, mówiliśmy o udanej wycieczce do nauczycielki: O pani profesor, jak było fajnie na tej wycieczce. Ale jak pani profesor każe ci napisać reportaż o tej wycieczce, to ty nie użyjesz tego słowa, tylko: na wycieczce było cudownie, wspaniale, fantastycznie. Nie możesz się tak zachować jak jedna z kandydatek na studia polonistyczne, która powiedziała mi, że w wierszu poeta osiąga fajny nastrój. Ten „fajny nastrój” na egzaminie był nie do przyjęcia. Co do Wrocławia, sytuacja jest niezmienna. Przyjechali tam w 1945 ludzie zewsząd, z takimi lub innymi uwarunkowaniami językowymi, regionalnymi: pomorskimi, wielkopolskimi, mazowieckimi i innymi. Z tego tygla najrozmaitszych przyzwyczaję regionalnych narodziła się bardzo szybko ponadregionalna, standardowa odmiana języka i w związku z tym Wrocław i praktycznie Dolny Śląsk to obszar polszczyzny standar-

dowej, w której oczywiście detalicznie jakieś cechy gwarowe można usłyszeć w języku człowieka w moim wieku. Przeciętą jest przezroczysta. Ta mieszanka była jednak bardzo piękna. Jeżdżę na swój Górny Śląsk z Czelaźnią, Będzinem, Krzepicami, Kłobuckiem. To wszystko dzisiaj należy do woj. śląskiego, kiedyś katowickiego. Ale, mówiąc delikatnie, nie kochają się ci ludzie. Gdyby Pan mieszkańcowi Sosnowca powiedział, że jest Ślążakiem, to się na pana obrazi. Podobnie się obrazi katowiczanie czy chorzowianin, kiedy usłyszy o Kłobucku na Śląsku. Tak donoszą wiadomości radiowe i telewizyjne. Bo on wie, że to jest konstrukcja administracyjna, ale nie historyczno-językowa. I tak też delikatnie muszę powiedzieć, nie kochają się mieszkańcy Katowic z mieszkańcami Sosnowca czy Szopienic i Sosnowca, choć są oddzieleni tylko rzeką. Dlatego zawsze tam mówię: Ludzie kochani, żebyście tak wzięli przykład z Dolnego Śląska - tam są ludzie zewsząd i jakoś nikt nie pyta: skąd jesteś. Każdy tam skądś jest/ był. Tworzymy jednak tą jakąś piękną jedność. No, ale ja mogę tak sobie mówić. Jeżeli coś jest do zabrania z Dolnego Śląska, to ta mozaika, różnorodność. Można się pod tym względem zapatrzeć w mieszkańców w geście solidarności etnicznej.

**W.K:** Może coś jeszcze o Opolszczyźnie?

**J.M:** Oczywiście, że jest tam jeszcze sporo ludności autochtonicznej. Ale w samym Opolu już jest więcej nie-Ślązaków niż Ślązaków. Niektórzy mają podwójne obywatelstwa, jakaś tam część wyjechała do Niemiec. To był też paradoks i tragedia tej ziemi. Powstania śląskie i plebiscyt. Niech mi Pan wierzy, że Opolszczyzna była bardzo propolska. Natomiast granice wcale nie zostały wytyczone na podstawie realnych wyników plebiscytu. Powiedzmy to dzisiaj, wytyczono je według korzyści dla Polski. I ten najbogatszy, przemysłowy Śląsk przypadł Polsce. Oczywiście, że Gliwice, Zabrze, Bytom, zostały w Niemczech. Jednak Katowice, Chorzów, Rybnik to wszystko przyszło do Polski, a Opolszczyzna cała została przy Niemczech. Chociaż były takie powiaty, w których 80- 90 % mieszkańców opowiadało się

za Polską. Tam było skupisko powstańców śląskich. To wielka tragedia tych ludzi, że kiedy w 1945 roku Polska tam wreszcie przyszła, to traktowała ich jak nie- Polaków. Tragedia tych ludzi. Mam znajomych, którzy dzisiaj prawie ze łzami w oczach opowiadają mi, że bili się o Polskę, a dzisiaj mają obywatelstwo niemieckie. Często przyjmowali je na zasadzie przekory, bo po 1945 roku Polska źle ich przyjęła. Wie Pan, noszę w swoim sercu opowieść. Oto pewna pani znad morzajechała z ojcem do Opolu, aby pracować jako nauczycielka. Na starych mapach widziała napis: Germania. Była pełna obaw, jak ją przyjmą. Myślała, że tam mówią po niemiecku. Nie wiedziała,

że ludność na co dzień mówi piękną śląską polszczyzną. Uspokoila się na pierwszej lekcji, gdy pokazała zdjęcie psa z kością. „O, dzierży kość w pysku”- usłyszała. Gdy usłyszała to staropolskie słowo dzierży, czyli trzyma, była bliska rozplakania. Usłyszała krystaliczną polszczyznę. Wspomnę jeszcze o dwuletnim pobycie w Westfalii, gdzie od 1975 r. pracowałem w Münster jako lektor. Miałem swoich studentów. Proszę mi wierzyć, co najmniej 50% z nich to byli ludzie z Górnego Śląska, z Opolszczyzny, Warmii, Mazur, z Kaszub. Oni mi opowiadali tak: Nasi rodzice czekali na Polskę. Przyszła Polska i dowiedzieliśmy się, że nie jesteśmy Polakami, że

jesteśmy podejrzani. Dlatego mieszkamy w Niemczech. Zwracali się do mnie: Powiedz mi, kim ja jestem? Nikt z rodowitych Niemców za Niemców ich nie uznawał. A oni byli wewnętrznie pokiereszowani, bez świadomości, kim właściwie są: Ślążakami, Niemcami, Polakami? To samo mówili mi ci z Mikołajek, spod Olsztyna.

**W.K:** Bardzo dziękuję za tę rozmowę, wrzuciłem się końcówką wypowiedzi Profesora. Dziękuję w imieniu swoim i czytelników.

**J.M:** Zbierajmy się więc na jubileuszowy koncert Jana Ślęka.

Rozmawiał: W. Kaczmarek

## Nowa szkoła w Rojowie ukończona na czas. Otwarcie roku szkolnego 3.09.2018.





## Złot CITROENÓW



foto: Wiesław Kaczmarek



[www.dziejeostrzeszowa.pl](http://www.dziejeostrzeszowa.pl)

## Dzieje Ostrzeszowa

OSTRZESZOWSKI BOREK nie zawsze był tylko placem ograniczonym trzema ulicami i budynkami szpitala. W swojej historii był osadą, wsią, gminą, miastem (prywatnym, rycerskim, książęcym, królewskim), przedmieściem Ostrzeszowa by w końcu stać się integralną częścią miasta. W obrębie dzisiejszego placu Borek stała świątynia ewangelicka, była karczma, poczta, kuźnia, był targ, a w czasie drugiej wojny, otoczony drutem kolczastym plac stał się obozem dla jeńców alianckich. Borek był miejscem bardzo gościnnym, na placu stawały karuzele, wesołych miasteczek, i jak zajeżdżał do miasta cyrk, to tutaj otwierał swoje podwoje. Tymi kilkoma fotografiami spróbujemy trochę przybliżyć historię Borku.



Targowisko na Borku, ok 1906 roku.



W miejscu gdzie jest dzisiaj pawilon handlowy stał na Borku murowano-drewniany zajazd, zwany Jakubinką od nazwiska właścicielki, samotnej Żydówki Hanny Jakubinka. Karcznię rozebrano w latach dwudziestych.



Obelisk upamiętniający pierwszy ewangelicki kościół, zbudowany na Borku w roku 1806. Po lewej stronie widoczna karczma Jakubinka, po prawej kaflarnia Niera.



Pamiętny obelisk po świątyni ewangelickiej został po wojnie przeniesiony na teren Fary i służy jako podstawa pod figurę Tadeusza Judy.



Lata okupacji niemieckiej, plac Borek otoczony drutami stał się obozem jenieckim. W centralnym punkcie zdjęcia, trochę zasłonięty, widać obelisk postawiony na miejscu ewangelickiego kościoła.

## WYDARZYŁO SIĘ! Ostrzeszów 2018 WYDARZYŁO SIĘ! Ostrzeszów 2018



## Powrót STRAŻAKÓW ze Szwecji





◀ Rok 1948, kamienica przy ulicy Ogrodowej (obecnie Daszyńskiego) ze stolarnią pana Fabrowskiego.

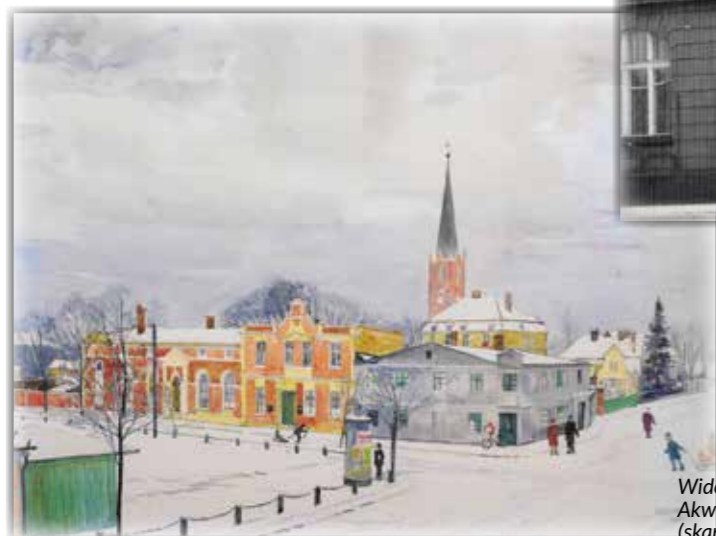


◀ Lata siedemdziesiąte sklep spożywczy w domu przy ulicy Daszyńskiego (obecnie apteka).

▲ Lata sześćdziesiąte, ulica Daszyńskiego (dawna Ogrodowa), na parterze piętrowej już kamienicy zakład stolarski pana Fabrowskiego z białą trumienką w oknie wystawowym.



▲ Lata sześćdziesiąte, kamienica na rogu placu Borek i ulicy Chmielnej, w głębi widoczna piekarnia Antoniego Karolewskiego (później Kazimierza Mądrego)



Widok na plac Borek i salę Hendrykowskiego. Akwarela Antoniego Serberńskiego (skan z albumu Antoni Serberński 1886-1957)



◀ Koniec lat pięćdziesiątych, w miejscu gdzie obecnie jest kino, widziemy knajpę Hendrykowskiego. W czwartki, w dni targowe lokal był oblegany i pękał w szwach. Na Borku w czwartki odbywał się targ tzw. świński, handlowano na nim głównie trzodką i bydłem, po lewej widoczne zagrody zwane grodkami.



► Koniec lat pięćdziesiątych w tyle widoczna sala Hendrykowskiego, właśnie trwa jej przebudowa i remont kina Lotnik. Po prawej widoczna drewniana rampa, która służyła do załadunku zwierząt.



▲ Rok 1974, kino Lotnik

◀ Rok 1974 plac Borek oglądany z ulicy Gancarskiej. Na miejscu zburzonej willi Niera trwa budowa szpitala, kaflarnia jeszcze stoi ale i ona wkrótce zniknie z ostrzeszowskiego krajobrazu. Zdj. Cz. Bojszczak



▲ Zdjęcia Cz. Bojszczak Grzegorz Kusnierczyk  
Zdjęcia ze zbiorów: Muzeum Regionalnego Jacka Matysika Józefa Fabrowskiego Janusza Suwiczaka



◀ Borek, początek lat osiemdziesiątych.

*Sekret Piękna*  
*Klaudia Hofman* Rataja 5D  
Grabów nad Prosną  
tel 607 659 236

- Oferujemy najwyższej jakości usługi z zakresu:
- Fryzjerstwo (współpracujemy z prestiżową włoską firmą Sens.us)
- Barber
- Usługi kosmetyczne (Manicure, Pedicure, Zabiegi upiększające)
- Medycyna Estetyczna
- Makijaż
- Kursy wizażu oraz stylizacji rzęs
- Kompleksowa obsługa ślubów, oraz innych uroczystości
- Organizacja wieczorów panińskich
- Masaże
- Stylizacja Rzęs (wszystkie metody!)
- Sprzedaż rzęs na pasku Love2Lashes! Tylko u nas!
- Makijaż Permanentny
- Opalanie Natryskowe
- Solarium
- Przekłuwanie uszu
- Sprzedaż kosmetyków
- Stylizacja i porady stylistki
- Kompleksowe Metamorfozy

Na hasło Kwartalnik Ostrzeszowski wyjątkowa niespodzianka!

**sens.us** HAIRLOVERS *Restylane* LABORATOIRES **FILORGA** ANASTASIA *LOVE Lashes*

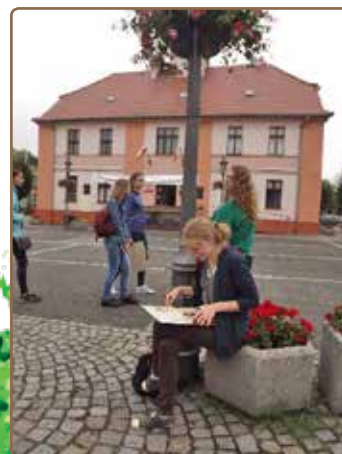
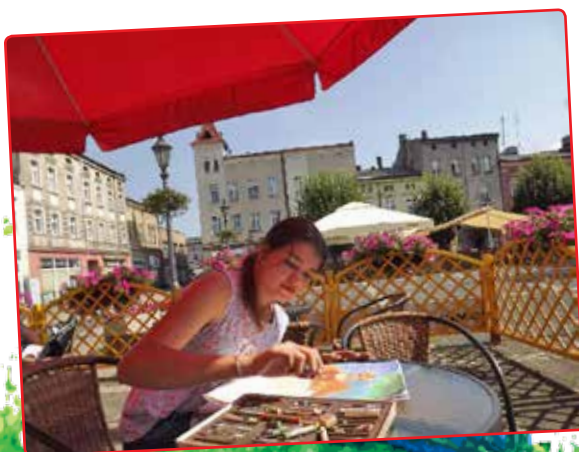
**FESTYN 6 DZIELNIC - BASZTA 2018.**



**DNI  
ZIEMI  
OSTRZESZOWSKIEJ**

Wydawca: Ostrzeszowskie Centrum Kultury, ul. Gorgolewskiego 2, 63-500 Ostrzeszów, tel. 62 730 25 36 / e-mail. ockostrzeszow@gmail.com  
Urząd Miasta i Gminy w Ostrzeszowie, Wydział Promocji i Rozwoju Gminy, tel. 62 730 06 20  
Nakład: 1200 egzemplarzy | ISSN 2543-649X  
Redaktor naczelny: Wiesław Kaczmarek, tel. 600 072 111  
Współpraca: R. Dziergwa/TPZO-Poznań, M. Makiela/TPZO-Poznań, K. Kempa, Dzieje Ostrzeszowa, A. Derewiecki.  
www.facebook.com/ostrzeszowska

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, tytułów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Anonimów nie publikujemy. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść publikowanych reklam, listów, polemik i komentarzy.  
Wzory i projekty reklam pozostają własnością wydawcy.  
Czasopismo ma charakter popularyzatorski i służy poznawaniu lokalnej kultury, historii, samorządu.



# PLENER MALARSKI



W Doruchowie historię dowódcy Powstania Wielkopolskiego Stanisława Thiele i jego rodziny przybliżyła nam dyr. biblioteki pani Leokadia Piasecka. W Kottłowie oprowadzał nas po dworku dyr. DPS pani Danuta Głodek, w Parzynowie udostępnił nam zwiedzanie kościoła ks. Mirosław Janowski, w Ligocie umożliwiła nam zwiedzanie i opowiedziała historię zdobywania zamku przez Powstańców pani Bożena Krzewska.